

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.
Wychodzi co tydzień.

Widok z obłoków.

Lube dzieciutki! czybyście chciały
Pobujać ze mną w obłoku?...
Jabym wam wskazał obrazek mały,
Miły i sercu i oku.

Bom ja go widział, wiem w której stronie,
Wiem, gdzie go szukać należy.
Jest koło lasu szerokie błonie,
Poznamy na niem pasterzy.

Chcecie? więc dalej!... Co? wyśmienicie!
Jak ta swobodnie, wesoło!
Nieprawdaż, miłe powietrzne życie;
Rzućcie więc okiem w okolo.

Tam pasterz prosty i bez oświaty
Czarny chleb z torby dobywa;
Szata uboga, na szacie łąty,
A w duszy dobroć prawdziwa.

„Szymku! — powiada — ot, na ci chleba —
I dał mu w większej połowie. —
Dobrodziej mówił: „dzielić się trzeba“.
„Bóg zapłać, Jonku!“ — odpowie.

Słońce się na to mile patrzyło,
Ziemia się wiosną rozśmiała,
Ziarno miłości owoc wydało,
Dziatwa rączkami klaskała.

Rzecz to tak mała, wielka u Pana,
Bo Pan tak kazał dzieciutki.
Rozrzewnia serca scena widziana,
Nikną niezgody i sprzeczki.

I miłość, zgoda, życzliwe działy,
Powszednim stały się chlebem.
Oby na ziemi zakwitły łące,
A ziemia byłaby niebem.

St. Jachowicz.



Na kresach.

Opowiadanie z zamierzchłej przeszłości.

(Dokończenie.)

Mimo to jednak, dzielna i zdrowa natura tych ludzi nie złała się pośród głodu, chłodu i niewoli. Chwila szczęścia wśród swoich wróciła im siły.

— Córe mi bogi wracają — rzekł Laboń, prowadząc Krasę przed Wyszomira, a z nią i razem przybyłych.

Krasa rzuciła mu się do nóg.

— Kneziu mój, a Dodek?

— Dodek w ziemiach naszych, wrócimy do niego.

— A ojciec? — wołał Ciarek, przypadając Wyszomirowi do kolan.

— Czyjeś ty? — pytał kneź, patrząc na zbiedzone pacholę.

— Złoniów syn — mruknął Ciarek, nieśmiało podnosząc oczy.

Obiło się to bowiem o jego uszy wśród pochodu z niewolnikami, że ojciec jego wroga naprowadził. Coby się zaś z nim stało, nie wiedział, bo Złonia, stojącego w obronie swojej zagrody, w inną stronę przepędzono.

— Złoniów — powtórzył Wyszomir — precz mi gadzino! synu przedajnego człeka. — I ze wstrętem odsunął tulące się chłopię.

— Niewolę z nami cierpiał — szepnęła Krasa, wskazując na Ciarka i przypadając raz jeszcze do nóg kneziowskich. Wyszomir podniósł głowę. Na dźwięk łagodnego głosu Krasy, ochłodził z gniewu; lecz odwróciwszy się, skinął tylko ręką i odszedł, nie nie mówiąc do stojącego pokornie w milczeniu Ciarka.

— Kneziu! wołała swoim rozbitnym, chropawym głosem Siwucha, — nie gardź gałęzią, choć pień robaki stoczyły, z gałęzi nowy pniak zdrowy wyrośnie, i no go przyhołubić a ogarnąć.

I wywijając suchymi rękoma radośnie, popiła z kubka starucha wołając:

— Kneź, wielki kneź, Wyszomir! wszystkich przygarnia! żyjcie kneź, dobry kneź!

Wyszomir wiedząc o poświęceniu Siwuchy dla jeńców, uśmiechnął się na jej wołania, a pogładziwszy brodę, co było oznaką zadowolenia, poklepał ją po ramieniu, mówiąc:

— Dobra z ciebie starucha.

Siwucha uradowana pochwałą, do knezia nie już nie mówiąc, popchnęła mu Ciarka do kolan.

— Wrócisz do swojaków, do Gniezda, abys imię ojcowe poprawił, a ziemi wiernie służył.

— Kneziu mój! Kneziu! — wołał Ciarek ze łzami.

Wyszomir szybko zwrócił się do opodal stojącego Ziewonia.

— A ten? — zapytał.

— To nasz, a naszej chaty — mówiła Krasa, zbliżając się.

— Jam z Nadłabiańskich wzięty w niewolę — rzekł Ziewoń.

— Na Lechową od Germanów uciekłem ziemię, w Dodkowej przysięgnęty chacie, znowu z niej zabrany w niewolę. I znowu uchodzę... ziemia moja gdzie? nie wiem, nie znajdę! — I smutno zwiesił głowę.

Lud dzieląc radość i lzy przybyłych, wznosił kubki a wykrzykiwał radośnie.

— W pochód! do ziem naszych! — wołał Wyszomir po uczcie skończonej. — Wojan! Sroka! z brzaskiem dnia lud do pochodu! Laboń ty z nami! ty młodości mojej towarzyszu.

— Nie, kneziu mój, jam uchodząc z niewoli Radegastowi a Światowidowi przysięga służbę. Przy kontynie muszą. Córe bierz, kneziu, oddaj ją Dodkowi, a pozdrów od syna.

Krasa spojrzała na ojca, a przypadłszy mu do kolan, wołała:

— Ojcie! dziadu stary, bardzo stary! Krasa dziewczka ino słaba...

— Ziemia nie dla mnie, inny ją uprawiać będzie... Ty idź, bądź podporą staremu. Dziewką ino jesteś a i dziewczką pracą a zabiegliwością chodzić winna; miłość a jedność roznosić. Bogi siłę a statek ci dadzą.

Krasa z pokorą schyliła głowę.

— Ostań więc druha! — rzekł Wyszomir. — Bądź ojcem mojemu. — I na znak rozstania a zgody, kneź położył dłoń na ramieniu Labonia.

— On będzie przy mnie — rzekł uroczyście kapłan, który właśnie nadszedł, niosąc według obyczaju dary ludu i błogosławieństwo bogów. — Syn twój stanie przed Radegastem.

Wyszomir skłonił głowę w pokorze.

Pobożność i zgadzanie się z wolą bogów była od najpierwszego zaczątku jedną z cnót, gnieżdżących się w sercach słowiańskich.

— Na koń! — zawołał po niejakej chwili Wyszomir. I zbrojna, zwycięzka łupami i jednością drużyna, ciągnęła znanym już sobie szlakiem ku Gniezdu. Pieśń rozbrzmiewała radosna. Odpowiadał jej szum lasów i świegot licznych ptactwa.

Krasa i Siwucha jechały zdobytym na wrogach wozem.

Ziewoń i Ciarek wracali razem z innymi.

Ciarek pozostał pod opieką Wyszomira. O Złoniu nigdy nie słyszano. Pewno wśród wrogów zaginął.

Dodek spotkał wracających. Radował się pozdrowieniem syna i powrotem wnuczki.

Wyszomir jako przed starcem skłonił głowę i część łupu ofiarował.

— Synu mój, a ojciec i kneziu ludu! bądź pozdrowiony — rzekł starzec, podnosząc nad nim

dłonie. — bądź pozdrowiony na ziemiach twoich! Niechaj bogi oczy swe i łaskę na cię zwróca, a kłosa i bogactwa Słowian niechaj szeroko wśród ziem wszystkich zasłaną. Łupy rozdzieli pomiędzy sieroty, których ojcowie wśród boju zginęli. Mnie, mnie staremu, bogactwa nie potrzebne.

— Kupało, Kupało, Dodku, starcze, Wyszo-
mir wielki kneź! wołał lud według zwyczaju,
objawiając głośno radość swoją.

Dodek zwrócił się dotulając się ku niemu Krasy.

— Ty, wnuko moja, idź i śpiewaj!... — To mówiąc, wciągnął dłonie i szybko się oddalił ku lasom, co go wołały swym szumem.

A od Lechowego wzgórza ptak powiewał rozszerzonymi skrzydłami, witając wracających do Gniezda.

Legendy i bajki.

Zebrał i spisał

K. Wł. Wójcicki.

MADEJ.

Jechał kupiec przez las gęsty, ciemny; błędził długo i w pomroce nocnej ugrzązł w bagnie bez ratunku. Zasmucony, począł rozpaczać, gdy nagle, w postaci ludzkiej, zły duch mu się pokazał.

— Nie smućcie się człowieku — wyrzekł do kupca — ja was wyciągnę z błota i na dobrą drogę wyprowadzę, ale pod warunkiem, że to, co masz w domu, a o czem ty nie wiesz, moją zostanie własnością.

Kupiec pomyślał trochę i przystał na podany warunek, nie wiedząc, że żona powiła mu w czasie jego podróży dalekiej urodzonego syna. Djabł wyciągnął go z błota, wyprowadził na szeroki gościniec, a zmusiwszy kupca do wydania cyrografu, raz jeszcze umowę przypomniał i zniknął.

O ile z radością powitał żonę tak dawno nie widzianą, o tyle zasmucił się, widząc ładnego syna, którego już złemu duchowi zapisał. Skrycie płakał nie raz pocziwy kupiec, tając lży gorzkie przed żoną; tymczasem dziecko w pachole wyrosło.

Było ciche, spokojne i chętne do nauk; w piątym roku już dobrze czytało i pisało, co tem więcej strapił serce ojca jędrzyło, że z dziećciem lak lubem wkrótce się rozstać musi, oddając na ofiarę djabłu.

Małe pachole, doszedłszy lat siedmiu, uważało smutek ojca i lży rzewne, ile razy zapatrywał się w jego urodne oblicze. Tyle przeto prosił, tyle nalegał, że kupiec wyjawiał mu wszystko.

— Nie troszcz się, ojczulku; Bóg mi pomoże, ja pójdę do piekła i cyrograf odbiorę.

Płakała matka, płakał i ojciec, błogosławiąc na tak daleką drogę chłopczyne, który, zrobiwszy potrzebny przybór, wyruszył z domu.

I szedł długo i daleko, aż zawędrował w puszcze ciemną i straszną, a tu w jaskini ukrytej zamieszkiwał rozbójnik Madej.

Morderca własnego ojca, matkę jeno zachował przy życiu, co mu gotowała strawę. Nikomu nie podarował życia; kogokolwiek dostał, bez litości zabijał. Matka zablakanych w jaskini przecho-
wywała, ale Madej miał węż tak doskonały, iż zaraz poczuwał ludzkie ciało.

Chroniąc się przed burzą, zaszło tam nasze pachole; stara, litując się nad nim, ukryła go w kątku jaskini, lecz Madej, zaledwie wpadł do niej, poczuł człowieka. Już biedne dziecko miało paść pod zbójceją pałką, kiedy rozbójnik, dowiedziawszy się, gdzie idzie, podarował mu życie, z warunkiem, aby zobaczył w piekle, jakie dlań zgotowano po śmierci męczarnie. Pachole równo ze świtem opuściło jaskinię i prędko dostało się do piekielnej bramy; święconą wodą i obrazkami, które przy-
lepił, otworzyło ją snadnie. Zaskoczył mu lucy-
per, z zapytaniem: czego żąda?

— Cyrografu na moją duszę przez ojca mego wydanego.

Hetman piekielny, chcąc się go pozbyć czem prędzej, cyrograf kazał wydać; ale trzymał go kulawy boruta, a choć parzony kropidłem święconej wody, nie chciał wrócić cyrografu.

— Weźcie go na madejowe łożo! — zawołał rozgniewany lucyper, a kulas, przestraszony okropną męką, zaraz pismo oddał.

Ciekawy chłopczyzna, poszedł zobaczyć tak straszliwe łożo. Było z żelaznej kraty, wysłane ostremi nożami, iglicami i brzytwami; pod spodem palił się ogień bezustanny, a z góry kapła kroplami rozpalona siarka.

Wyszedł z piekła i trzeciego dnia zaszedł do tejże jaskini, gdzie go już oczekiwał Madej. Doniósł więc o tem co widział rozbójnikowi. Zmartwiał z przestachu zbrodzień, a chcąc tak srogiej męczarni uniknąć, postanowił pokutować.

Wyszli więc razem z jaskini; Madej ukłękł w lesie, zatknął w ziemi przy sobie morderczą pałkę, wiedząc zaś, że młode pachole na księdza się poświęciło, przyrzekł, iż dopóty czekać będzie na tem samem miejscu, dopóki nie zostanie biskupem.

Minęło lat kilkadziesiąt, nim on chłopczyzna z księdza otrzymał dostojność biskupa.

Raz, przejeżdżając puszcza ciemną i gęstą, doszedł go przyjemny zapach jabłek. Rozkazuje więc swej służbie tego owocu wyszukać; dworzanie wkrótce wracają i donoszą, że w pobliżu jest piękna jabłoń, ale żadnego nie da sobie urwać jabłka, przy niej zaś kłęczą starzec siwobrody.

Biskup idzie na wskazane miejsce i z podziwem poznaje Madeja, okrytego siwizną, z długą do ziemi zarosłą brodą, który go o wysłuchanie spowiedzi i rozgrzeszenie zaklinał. Przychylił się kapłan do jego prośby, a dworzanie z osłupieniem patrzeli, jak w czasie tego aktu jabłko po jabłku, zamienione w białe gołąbki, zniknęło w

powietrzu. Jedno tylko pozostało jabłko, była to dusza ojca Madeja, którego sam zamordował, a ten grzech ciężki zataił, lecz gdy wyznał i ten grzech ostatni, ostatnie jabłko, przedzierzgnięte w siwego gołębia, za innymi uleciało.

Modlił się gorąco biskup nad grzesznikiem, a gdy dał mu rozgrzeszenie, ciało Madeja w drobny proch się rozsypało.



Nieproszeni współnicy człowieka.

(Dokończenie)

Szczur wodny nie zadawalnia się byle jakim mieszkaniem: potrzeba mu wygodnej izby, a z niej licznych korytarzy, słowem mieszkanie swoje robi na wzór słynnego podziemnego kopacza — kreta. Nad norą szczura wodnego wznosi się taki sam kopiec, jaki usypuje kret. Jeśli mu się dokładnie przyjrzeć, nie trudno zauważyć, że szczur jest gorszym robotnikiem: kopiec składa się z grudek, ziemia nie jest tak starannie przetartą, jak u kreta. Bądź co bądź jednak muszą te zwierzątka mieć pokrewne obyczaje; a może nawet szczur wodny, tak samo jak kret, zajmuje się tępieniem podziemnych szkodników, jak pędraki i liszki?

Niestety nie można tego o nim powiedzieć. Kret w swem uganianiu się za pędrakami, w czasie wiercenia korytarza, uszkodzi nie jeden korzonek, ale robi to przypadkiem i szkody sownie wynagradza. Szczur wodny natomiast żywi się właśnie korzonkami i w tym celu kopie podziemne chodniki, ażeby mieć dostęp do większej ilości korzeni.

O ile kreta chętnie należy witać w ogrodzie, o tyle nie ma się czego cieszyć, ujrawszy na łące lub na trawniku kopczyk z grubych grudek ziemi. Młode korzonki drzewek owocowych, zwłaszcza w szkółkach, soczyste marchwie i pietruszki oraz inne warzywa, a także drobne korzonki traw na łąkach — wszystko to gryzie szczur wodny swemi ostremi zębami.

Ziarn zbożowych nie jada, lecz nie mniej daje się ludziom we znaki.

Zkąd jednak pochodzi jego nazwa szczur wodny? Ani mieszka przecież w wodzie, ani pokarmu w niej nie szuka? Tak, w samej wodzie nie mieszka, ale tak samo jak kret osiedla się zazwyczaj w sąsiedztwie wody i nieraz urządza wyprawy na drugi brzeg, pływa bowiem wybornie. Tem więc straszniejszy z niego szkodnik, bo nawet mokre lata, zgubne dla myszy i nornie, jemu wcale nie szkodzą.

Czasami szczury te obierają sobie na mieszkanie tamy lub groble i przekopują w nich

chodniki, co nieraz spowodowuje zawalenie się grobli.

Szkodnik ten, dzięki większemu wzrostowi i podziemnemu życiu, większe ma bezpieczeństwo, niż małe polniki: ptaki drapieżne nie wysłedzą go pod ziemią, a i lis nie bardzo lubi takie polowania. Tutaj główną pomocnicą człowieka okazuje się zgrabna łasica. Sama nie o wiele większa od szczura wodnego, zwinna i zmyślna, wypatrzy zawsze stosowną chwilę, kiedy ten z podziemia wyjrzy na światło dzienne — wtedy rzuca się na niego i zagryza po krótkiej walce. A gdy nawet szczur próbuje ratować się ucieczką do nory, ona i tam potrafi za nim się wślizgnąć.



ŁAMIGŁÓWKI.

I
S z a r a d a.

Pierwsze, w całku wzięte,
Żadnego nie ma znaczenia,
A na pół przecięte,
Pewien mały sprzęt wymienia.
Drugie, czwarte z trzeciem razem,
Tej rośliny są wyrazem,
Dla jakowej ludzkiej prości cześć szczególną mają,
I nią w większe święta swe mieszkania ozdabiają.
Trzeci, znów oddzielnie postawiony,
Różnych dwóch rodzajów bywa:
Jeden przez amatorów sławiony —
I tego człowiek spożywa;
Ale kto się z drugim spotka, temu biada:
Z nim trudniejsza sprawa, gdyż on człeka zjada.
Wszystka, jest chorobą, jaka gnębi ród człowieczy,
Ona chociaż nie zabija, lecz ciężko kaleczy.
Tejże nazwy mamy widok innego zjawiska,
Godnego podziwu, bo to istny cud przyrody;
Tam nikt nie ponosi żadnej, by najmniejszej szkody,
Owszem każdy się zachwycą, gdy go ujrzy z bliska.



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 29.

I.
Rebus.

Częstochowa, to skarb narodowy.

II.
Z a g a d k a.
Dzieci.

